



pismo miesięczne z obrazkami

← wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. →

Redaktorka i wydawczyni:

Marja Wysłouchowa.

Prenumerata wynosi:

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Lwów — Chorążczyzna 5.

Z zapomogli Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej.

NA ZAROBEK.



udzie po sumie wyszli z kościoła i rozproszyli się po rynku, gromadząc się tu i ówdzie w większe gromadki... Niech naprzykład dwoje ludzi stanie i pocznie gawędzić — zaraz podchodzi trzeci i czwarty, a każdy rad się przysłuchać »co tyż ta mówią«. Już to ciekawość ludu leży w jego naturze.

Ot i teraz gromadkę młodych parobczaków, którzy żywo o czemś rozprawiają, otoczyli kołem starsi gazdowie i kobiety, a każde uszu nadstawia, to »oździawia gębę« by przecie co zarwać z ogólnej rozmowy.

— O czemże to tak rozprawiają, moi ściewy? — pyta jakaś stara kobieta, która co dopiero nadeszła, stojącej obok kumoszki.

— O swoim wyjeździe, moi kochani, hej!...

— To się wszyscy zabierają na ten zarobek... a któż tu we wsi ostanie?...

— No, pytajcież się ich ta! kie przecie we świecie zarobią, a tu bieda kroćsetna. Nawet na sól nie wystarczy, a niestoboże *) na życie i przyodziewek...

— Dyć prawda... — potwierdziła kumoszka.

A tymczasem w pośrodku zgromadzonych dorodny parobczak rozpowiadał szeroko, jak on to słyszał od Kuby Grzesiaka, który był w Peszcie, jak tam dobrze płacą za robotę, jakie tam życie wygodne itp.

— Tam ino sperka, a światły chleb. Paru gazdów obliznęło się. Światły chleb — to u nich przysmak nielada! Przyzwyczajeni do owsianego placka, jak kupią »kukiełkę« na jarmarku, gdy im zbędzie cen-

*) Niestoboże = nie to Boże (nie dopiero.)

tów od koniecznych wydatków — toż to w chałupie uciecha!

— I kież się naprawdę zabieracie?... — spytał gazda stary mówiącego parobka.

— Kieby jak najprędzy! Choćby pojutrze... — odpowiedziało paru. — Dyć wiesna nadchodzi, trza zarobić co do chałupy...

— A dużo was jedzie?

— Ho! sporo. Jasiek od Grzędy, Wojtek od Cieśle, Jędrak od Porębskich. Nabiera się nas z pięćdziesięciu.

— Edyć i z Hameryki piszą nasi — podjął drugi gazda — że się im ta nie źle powodzi. Zarabiają po dwa dulatory na dzień.

— A kieloz to w dulatorze? — spytał ciekawie jakaś kobieta.

— Bedzie z półtrzecia reńskiego... — objaśniał gazda.

— Oj rety! To jaże telo!... — dziwowała się kobiecina.

Na uboczku stało parę dziewcząt, poglądając smutnie na odjeżdżających. Nie jedna myślała o »swoim, czy tyż wnetki wróci, czy o niej nie zabaczy? Gadają, że w Peszcie niemało dziewczek — to i łatwo mogą jej odbić chłopca...«

Długo jeszcze rozprawiała gromadka; wreszcie poczeli się rozchodzić ludziska, to na nieszpór, to do chałupy. Ot zwyczajnie — każdy w swoją stronę. Rynek się opróżnił, tylko jeszcze pod wieczór paru pijaków szukało drogi po omacku, albo Izaak jaki starozakonny przesunął się, spacerując powoli w swoim długim, półjedwabnym chałacie...

Minęło parę dni. Pochmurno było na niebie i na ziemi, dżdżysto i posepno, jak zwyczajnie przed wiosną...

Śnieg, ledwo się stopił na kamienistej powierzchni, a już, dysząc mgłą, występowała szara, mokra ziemia, deszczem i trudem chłopca urobiona z rozsypanych kamieni — sam rozsypujący się piaskowiec, zmuszony wilgocią coroczną i mozolną uprawą wydawać karmę jałową dla chłopca.

Zaorane wertepy skalne, dawniej pastwiska — świecą drobnymi kamieniami, między którymi gdzieniegdzie tylko ziemia się przesypuje. Jałowa gleba — jałowy owoc wydaje; jałowe też życie górala.

Wioska cała doliną spływającej roztoki się ciągnie; chałupy koło wody rozłożyły się osiedlami¹⁾. Ale przyrastająca ludność pcha się z doliny po stokach ku górze, zaorywuje pastwiska, kłeci po bokach góry nędzne chaty, a gdy na szczyt dojdzie, gdzie już osta-

tek pastwisk i łąk — to wtedy chyba na gwiazdy sięgnie po ziemię, bo jej tu zabraknie... A to niedługi czas do tego!

Nie dziw, że lud szuka zarobku, gdzie tylko o jakim zasłysz; nędza wypycha go z chaty...

Ot i teraz... drogą, która wiedzie koło wody do miasteczka, widać wlekących się po dwu, po trzech rosłych, ale zmizerowanych młodych ludzi. Idą z zawiniątkami na kolej... Ona przeniesie ich z krainy nędzy do tych wymarzonych miejsc, gdzie tak łatwo zdobyć parę »papierków...« Tak łatwo tam przychodzą »pieniądze«.

— E, cóż to za trudność? — myślał sobie — ino się robi dwanaście, albo dziesięć godzin na dzień, a weźmie się za to siedem szóstek! Kie na to trza we wsi dwa dni, albo i więcej robić... Cały rok boży człek haruje i haruje, a nika nic!... Dłub w tym gruncie i dłu, a on cie jeszcze nie zdole wyżyć...

Takie myśli przesuwają się po głowie odjeżdżającym i nadzieja prędkiego zarobku już im naprzód rozjaśnia wybladłe twarze...

Na godzinę, w której kolej odchodzi, zgromadziło się sporo ludzi na dworcu. Z każdej wsi ciągnął ktoś; około dwiestu ludzi czekało na pociąg. Niebawem nadjechała »maszyna«.

Lud rzucił się do wagonów... Za parę minut pociąg ruszył i powiózł młodych nędzarzy na zarobek...

Na dworcu zostali zażawieni ojcowie, szlochające głośno matki i parę dziewcząt, które odprowadzały »swoich...«

— Niech-że ich ta Pan Bóg prowadzi, Matka Najświętsza!... — polecali Bogu odjeżdżających znajomi i bliscy.

I »przemkło« pół roku... Lato gorące, przeplatane częstymi burzami, załoniło się w uciekającej przeszłości...

Stodoły były tylko do połowy wypełnione. Grad poniszczył chleb na polu, a co grad nie zbił lub woda nie zabrała, to zepsuły długie słoty w czasie zbiorów, a do reszty i dziki pomogły jeszcze na zagonach wymlócić.

— Jak tu z takim lichym zasobem ognąć długą zimę?... — wysiła się mózg strapionego gazdy... napróżno! Pozostaje chyba jeszcze jeden ratunek: zarobek...

W chałupach, gdzie mężowie lub synowie poszli jeszcze z wiosną do świata — tęskno wyczierają i oczekują ich niecierpliwie...

¹⁾ Osiedle — parę domów w kupie, związanych z sobą wspólnością pastwisk i ugorów.

— Dyć pisali parę razy, przysłali nawet po kilkanaście ryńskich, ale tu ku zimie trza tego i owego; może tyż zarobili co więcej i przywieżą...

W niedzielę po sumie, na rynku, gdzie jedyne miejsce do wspólnych dla całej wsi żalów i skarg — zbierają się coraz liczniej i częściej ciekawe gromadki; a wszystkie gwarzą tylko jedynie o zasłyszaniem powodzeniu zarobkujących, to o ich bliskim powrocie...

I rzeczywiście — w jedną taką niedzielę, z początkiem adwentu, można było wśród ludu rozróżnić kilku, a nawet kilkunastu »po pańsku« ubranych, którzy coś ciekawego naokół rozpowiadali, bo ich słuchano pilnie, a gęste gromadki otaczały ich dookoła...

— To »sem« nie tak, jak myślicie... — mówił jeden z owych pół-panków, przybrany w surdut i wysokie buty. — Tam »je neni« tak »dobre«, jak ludzie »śprechują...« Na wikt, to wystarczy, »lebo« na odzienie; na posyłanie ale do domu — to nie wystarczy. Jak nadejdzie »becalunek, to się »hnetki« rozleci. Na »faierant ni ma, coby do miasta na »Budzin-stad« wyjść wedle »śpacyrunku«...

Ludzie słuchali go uważnie, a matka, stara kobieta, napatrzeć się nie mogła synalkowi, że »tak przepięknie wygląda, kieby nieprzymierzając jaki pan, abo ślachcic«. Zachwycały ją szczególnie pomarszczone buty wysokie i »mieme« słowa, często używane, których nie rozumiała. A gdy się jej sąsiadki pytały ciekawie, czy przecie syn przywiózł co »dudków«, odpowiadała:

— Piniędzy, bo nie przywiózł żadnych. Ale cóż się dziwić! Dyć przecie i tam trza jeść i ubrać się nie byle jako, bo to nie między swoimi... Za to tyż ubrał się należycie i na twarzy go przybyło. Czasu nie marnował, bo przecie i po mimiecku gada i po madziarsku... Zawdy się to przyda!... On wam już tak, wicie, od malučka był przyściępnny do wszystkiego!

Radowała się biedna matka... ha! było czemu!

Ludzie słuchają, a kiwają głowami i dziwiają się, gdy przybyli opowiadają cudaczne dziwy o tym »przepięknym landzie«. Dziewczęta tylko niektóre posmutniały, że się ci »swoi jakosi poodmieniali...« Żadna nie ma jakoś śmiałości przystąpić, zagadać, jak przedtem... I oni już nie patrzą na nie, jak dawniej.

— Szkoda chłopców — mówią do siebie. — Tak im było pięknie w naszym stro-

ju, a w tych burnusach wyglądają, jak śwaby. Musiały ich odmienić tamtejsze dziopy...

Nie jedna też popłakała na boku... Za jej było »tamtego« — »ten« jakisi inakszy... inakszy!...

A stary gazda Jontas, co to bacował jeszcze za dawnych czasów — poglądał z pod oka na tych »cudoków«, jak ich nazwał — i machnąwszy ręką, odchodząc, szeptał do siebie:

— Hej! Nie te to czasy, nie te... Dawniejby cię wyśmiali, jakbyś się pokazał w tych burnusach między swoimi... a dziś? Edyć ten zarobek, ten zarobek... — labiedził stary — dyć cóż z niego?... Do chałupy nic nie przyniesie... Jaka bieda była — taka będzie... Przynajmniej jak siedzieli w domu, to choć obyczajów starych pilnowali... A dziś — o, co... Pošli we świat, wiary zabaczyli, ojczyste gwary się już wstydzą, jakiesi cudzoziemskie wyrzecenia ino słyhać... Przyodziewku to na tem żadnego; ani to chazuki, ani poćwiwego kapelusza... Wnetki się we światowców poprzemieniają. Drzewiej ka ta kto słyshał o jakiej kolei?... Wozem się jeździło, po ludzku, abo się szło na nogach... Jak kto raz za życia był w Krakowie na odpuscie — to już była wielga rzecz!... Dziś — kielo to luda do Pesztu, to do Ostrawy, to... djabcy wiedzą kany!... A to wszystko nic dobrego. Jeszcze do Hameryki — pal grzechowie!...¹⁾ Tam przecie i zarobi i do chałupy przyśle, a o swoich nie zabaczy, bo to kany si precz za morzem, to się i za swoimi ztęskni... Ale do tych miastów — to nieszczęście całe!... Ha no, bieda gniecie... Ludziska szukają sposobu do życia... Coraz więcej luda wychodzi ze wsi, a nie ubywa... Dziś nie mają z czego żyć, a z czegoż będą potem, jak się ich więcej namnoży!... Fabryki się wnetki przepęlnią i zarobku nie stanie... Hej! będzie to źle, będzie... Ale cóż poradzisz? Dyć trudno, mają się potem sami wieszać pomiędzy sobą!... Boże! nie dejże tyż tego doczekać mnie i moim dzieciom...

Tak labiedził stary gazda, wsparty o poręcz pod kościołem, długo jeszcze myślał coś w sercu i rozważał... Wreszcie machnął ręką:

— Dyć wola Boska na wszystko!...

I poszedł powolnym krokiem do kościoła, bo już na nieszpór sygnowali...

Władysław Orkan.

¹⁾ Pal grzechowie — pal djabli.





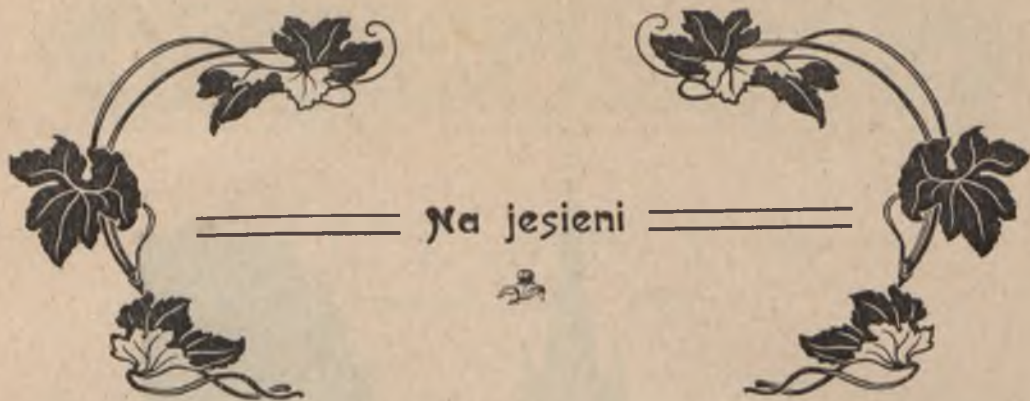
~ ~ **Kościoty w Chochołowie.** ~ ~

W roku przyszłym opowiem w »Zorzy« długo i szeroko o dzielnych góralach z Chochołowa, którzy służyli ojczyźnie miłą orężem i krwią z pokolenia w pokolenie. Dziś — dla braku miejsca — podaję jeno wizerunki dwóch kościołów z tej sławnej wioski. Ten pierwszy, dawny, już nie istnieje. W miejscu, na którym wznosił się przed paru dziesiątkami lat, szumi jeno olbrzymia, trzechsetletnia, jak powiadają, lipa.

Okazały dom boży, w którym Chochołowianie dziś zanoszą modły do nieba, ufundował jeden z górali chochołowskich, a mianowicie: ks. proboszcz Błaszyński. Przeczytajcie. proszę Was, drodzy Przyjaciele, co mówi o tym niezwykłym człowieku K. Smreczyńska w opowiadaniu p. t. »Pierwsze kroki«, które było drukowane w lipcowym i sierpniowym nr. »Zorzy« z r. 1900.



Dawny kościółek we wsi Chochołowie — w Tatrach.



*Coraz ciszej — Wrzesień! — Wrzesień!
Słońce rzuca blask z ułosa,
I dzień krótszy, chłodna rosa —
Ha i jesień — polska jesień.*

*O! jesieni złota nasze!
Tyś jak darów Boża czasa,
Dziwnie mądra, pełna cześci
I hojącej pełna treści...*

*Złote słońce i ściern złota —
Nigdzie głosu — nikt nie śpiewa,
A po duszy się rozlewa
Jakiś smutek czy tęsknota.*

*Odleciały już bociany,
Wiejshiej strzechy gospodarze;
Już i żóraw rzuca strażę,
W klucz powietrzny zawiązaną.*

*I już tylko od jeziora
Słychać jeszcze wrzask haczora,
Lub szum długi, gdy gromada
Już wędrownych gęsi spada.*

*Dziwnie mądra pora roku,
Zdrowa duszy, czuła oku,
Gdy liść zwiędły się przegania,
Ziemia, zda się, wówczas marzy*

*Wielkie prace, wielkie stróże,
Wielkie dzieje, wielkie burze;
I żywotem swoim ważą
Wielkie myśli zmartwychwstania...*

Wincenty Pol.





NOWY KOŚCIÓŁ W CHOCHOŁOWIE.



⇒ CZARY ⇒

Opowiadanie czytelnika „Zorzy“.

(Dokończenie.)

Jużci, nie wszyscy w te czary wierzyli, owszem dużo było takich, co najzupełniej byli przekonani, że Kowałycha jeno nadaremnie ludzi bałamuci. Słuszność każe jednak wyznać, że nie brakło i ciemnych biedaków, którzy w to wszystko wierzyli. Stara Kowałycha rzadko bardzo pokazywała się we dworze — gdzie niedawno jej wiary — i dziś także przyszła tu potajemnie, przywołana do dworskiego parobka, który się trochę roznie-mógł. Owóż, kiedy ci tak niespodzianie na-szła na Marynkę, zapytała ją zaraz:

— A czegoś taka smutna, dziewczyno?

— To wy! — zawołała z przestachem Maryś, — a wy tu co robicie?

— Co ja robię?... Mam potrzebę do dworu, ale co tam komu na tem? Powiedz raczej, czegoś taka zasmucona?

— Wam się tylko tak zdaje — odrzekła dziewczyna, chcąc się jej pozbyć.

— Ej, Marynko, przyznaj się: — ty kochasz pisarza?

— A wy zkąd wiecie? — odrzekła dziewczyna i zarumieniła się cała, jak wiśnia. Dziwno jej było, skąd Kowałycha to wie, luboć wcale nic dziwnego w tem nie było, bo wszyscy o tem gadali.

— No... no... nie masz się czego rumienić — ciągnęła dalej Kowałycha — niema w tem nic złego, jeno przyznaj mi się, bo ci niby młyński kamień leży na sercu.

— Ej, nie!

— Skąd nie! Myślisz, że ja nic nie wiem, he? A może kto wam w drodze stoi? i rzekłszy to, wpatrzyła się w Marynkę i potem tak dalej mówiła, domyślając się już nieco:

— Co?... czy może nie państwo?

— A wy to zkąd wiecie? — wykrzyknęła znowu zdumiona dziewczyna.

— Ten paluszek — rzekła manciarka, wskazując na mały palec u lewej ręki — ten paluszek wszystko mi mówi.

— A więc wiecie także, że p. Michał chce państwa prosić jutro o pozwolenie?

— Jużci wiem.

— Aleć ja się smucę, bo mało mam nadziei...

— Ja ci ręczę, że nic z tego nie będzie!

Nic z tego nie będzie! — zawołała z wielkim żalem Marynka.

— Jeżeli mojej rady posłuchasz, toć wszystko dobrze być musi, lecz inaczej nic z tego nie będzie.

— A czemuż bym nie miała was posłuchać? rzekła zupełnie już skruszona Marynka.

— Otóż ja ci dam jedną rzecz — mówiła Kowałycha, wyjmując z zapazuchy coś w chuście zawiniętego.

— Widzisz to ziele? Otóż kiedy będziesz ścielić państwu łóżka, włóż połowę pani, a drugą połowę panu pod poduszkę na noc. Ziele to zowie się »luczyk«, a skoro się kto na niem prześpi, toć z pewnością tak go otumani, że tobie w drodze nie stanie, jeno owszem, kiedy się państwo na nim prześpią, polubią ciebie, jak córkę i wszystko dobrze pójdzie.

— Kiedyż ja się boję — mówiła dziewczyna.

— Kiedy tak, to ja ci nic nie poradzę.

Lecz w tej chwili zły duch szepnął Marynce do ucha: Weź ziele! i obałamucona dziewczyna wzięła je i uczyniła wedle rady Kowałychy. Tymczasem silna woń zwróciła uwagę państwa. Zaczęto więc szukać i znalaziono pod poduszką czarodziejskie zielsko. Luboć państwo nie wierzyli w żadne czary, toć przecie chcieli odkryć zbłąkaną owcę, ażeby ją na dobrą nawrócić drogę. Największe podejrzenie padło oczywiście na Marynkę. Biedna dziewczyna stała, jak nie żywa, gdy ją pytano i wnet wyznała wszystko i przyznała się do winy, a potem, zalana łzami, błagała o przebaczenie.

— Ostatni to raz — wyjąkała, lecz płacz nie dał jej skończyć.

Pani, poruszona szczerym żalem, przebaczyła jej tę płochość i tak w końcu rzecze:

— Czyż i teraz jeszcze wierzysz w czary? Wszak jeśliby one w rzeczy samej posiadały jakąś moc utajoną, to nie byłyby mi, jak wróbel do klatki, do rąk wpadły. Niechaj ci to będzie nauką na całe życie. A teraz niemasz czego płakać, jabym i bez tych czarów nie była ci żadnych przeszkód stawiała, bo już ci nikomu szczęścia nie chcę zagradzać.

Ale nie skończyły się jeszcze utrapienia Marynki: Kiedy się o tem Michał dowiedział, zdawało się, że utracił nagle serce do dziewczyny, boć jak z jednej strony miłował szczerą prostotę, tak znowu z drugiej brzydził się strasznie w ciemnocie legnącym się przesądem.

Płakałaż teraz biedna dziewczyna w dzień i w nocy, aż śliczne oczęta przygaśły i za-

czerwieńły się od wielkiego płaczu. Nareszcie błysnęło i dla niej słonko szczęścia. Michał widząc, że dziewczucha w żadne zgoła czary nie wierzy, owszem, ma do nich wstręt, — znowu zbliżył się do niej, a w kilka miesięcy później dał na zapowiedzi.

Wesele było bardzo sute, huczne i wesołe, a dziś Marynka jest najrozsądniejszą kobietą w całej wsi i najlepszą żoną. Zaś z dawnej swej zabobonności wyśmiewa się i opowiada o tem, co ją spotkało ludziom, a najbardziej młodym dziewczętom na przykład i na naukę.

I ja także usłyszałem tę jej historję, a ponieważ spodobała mi się bardzo, więc spisałem ją co do słowa dla szanownych, kochanych Czytelników i Czytelniczek »Zorzy«. A teraz kończę, zasyłając serdeczne pozdrowienia Szanownej Redakcji i wszystkim Czytelnikom »Zorzy« ukochanej.

Józef Markulis,

Włościanin z Zaborcza w Mieleckiem.



Olza — czy Opór?



Radzibyście wiedzieć, Czytelnicy mili ze Śląska, która rzeka piękniejsza: wasza Olza, — czy też Opór we wschodnich Karpatach, gdzie lato bywała? — Ha, trudno odpowiedzieć na to pytanie. Każda z tych wód inszą ma krasę, więc — co się komu podoba!

Źródła Olzy, na zachodnim zboczu Gańczorki bijące, słońce wita u wstępu do życia pieszczotą ciepłą. Jako srebro błyszczą w jego promieniach wodziczka przeczysta i cicho się kolebie w pierścieniu z drzewa,

którym, niby kolebką lipową, otoczyła ją troskliwa ręka człowieka.

Dobrze tu młodej Olzie w ciepłych mchach, wśród koronek paproci i szafirowych gwiazd goryczki, więc się nie rwie do światła i zstępuje w dolinę ruchem lekkim, łagodnym, — ot, niby góral śląski, co się kołyszy rytmicznie przed muzyką w ulubionym owięzioku, nim dziewczuchę uchwyci i warciej przytupnie.

Po opuszczeniu góry rodzimej, Olza płynie znowu jasną doliną. W czystej fali

jej wód przeglądają się wzgórza zielone, złote łany zboża — i wioski dostatnie i bogaty Jabłonków... Gdy zaś Cieszyna doścignie, gdy zaszumi pod starą Piastów wieżą, a w zwierciadlanej jej tafli błysną złote krzyże kościołów i białe mury kamienic, — o wtedy Olza wygląda wspaniale, niby strojna gospościa śląska w sukni o tysiącu fałd, w aksamitnym żywotku (gorseciku), od srebra i złota świecącym, w czepeczku z koronek przedziwnych na głowie... Czuje też swoją godność i pewna siebie, zadowolona, majestatyczna, pomyka po ojcowiznie bogatej coraz szerszą, głębszą, błękitniejszą falą. Zagląda do Raju, Frysztatu, Bogumina, idzie aż hań do krańców ziemi Śląskiej...

Nie takie są dzieje Oporu — inakże jego losy.

Na dzikim Jaworniku, u granic obcej ziemi madziarskiej, bierze początek. Kolebka jego stoi pod dusznym splotem czarnych, jako rozpacz, gałęzi smerekowych. Słońce nie pochyla nad nią przejasnej twarzy, tylko drażni czasem promieniem ostrym, jak grot. I człowiek tu nie zagląda. Jenó żmije jadowite kłębią się i syczą, jeno tur drzewiej, a dziś olbrzymi niedźwiedź karpacki — ryczą nad młodą wodenką.

Opór słyszy te głosy potworne, wstrząsa się, drży, mieni, i oszalały grozą, skacze w przepaść, pędzi bez pamięci, łzami zimne głązy oblewa i huczy, jak burza!

Nareszcie — doliny dosięgnął!

Piękna, ale dziko piękna dolina!

Ze wszystkich stron odcięty ją od świata ściany wysokie, sztyrbne, niedostępne! Na północy stoi zła i chmurna Stara Szewela wraz ze siostrą swoją, Czarną górą. Ku nim przymknęły żałobne Korczanki, Od wschodu jeno, nad rwącą Zełemianką, śmieje się jaśnemi połoninami Zełemin — zielenienki!

Nie gędziolą tym górom ptaszęta. Orzełkonia krąży jedynie po nad szczytami i przeszywa powietrze krzykiem takim żałośnym, jak gdyby był nie krzywdzicielem, lecz ukrzywdzonym.

I słońce skąpi im swoich promieni.

Rankami dni pogodnych zalewa całą dolinę białe morze mgły. We świecie jasno — tu zmierzch. Słonko z trudem przebija te odmęty, błysnie, jak szczęście i ozłoci, rozraduje czarne lasy, góry, wody... Ale gości krótko i wczas ucieka za wysoki zrąb Swienencia ..

We świecie znowu jasno — tu zmierzch...

Opór rwie się za słońcem, lecz góry nie chcą go puścić: przysuwają się bliźiutętko,

zamykają drogę. On się opiera, dąsa, pieni, skałami ciska i — zwycięża!

I we świecie jednak zawód go spotyka: choć do wioski dociera, nie widzi bogactwa ni wesela. W stodołach — pustka, w chatach zapadłych — płacz, — na stromej uboczny ino owies kistkami dzwoni od Maty do Maty,*) a potem śnieg białą śmiercią pola okrywa...

Opór leci dalej, na zarobek! Chciałby uchwycić siną falą siedzibę ludzką, zamoczną, jasną, a znajduje, wnet za Hrebenowem, mogiłę, straszłą mogiłę. Śpi w niej od dziesięciu wieków, ale nie odpoczywa, nieszczęśny książ Świątosław, przez rodzzonego brata Świętopętkę zamordowany.

Przejęty grozą, Opór odwraca falę od Kainowej mogiły, rzuca się na oślep przed siebie, a wichur, mocarny pan tych gór, szarpie go i smaga, aż zjajany, okryty pianą, bez tchu, wpada do ciemnego, jak więzienie, wąwozu, gdzie Wrota zawierają się nagle na Kłódkę,*) aby swobody go pozbawić...

Hej, nadaremny trud! Dziecięć gór wolań nie da się w ciemnicy zamknąć! Opór miota się, dziki i gniewny, dobywa reszty sił, rozpiera góry i wymyka z pod Kłódkii.

Lecz nie chce dłużej walczyć i cierpieć. Krótkie miał życie, ale burzliwe. Pragnie kres mu położyć i rzuca się wodą siną pod Synowódzkiem w stalowe nurty Stryja, aby śmierć w nich znaleźć.

Nie odrazu jednak umiera. Płynie jeszcze pod brzegiem, szafirowy i żywy. Wtem uderza o kamienne stopy Paraszki, zatacza się, wiruje, jakby nagłym obłędem rozpaczy porwany i znika, rozplywa się, ginie bez śladu...

Bo ta góra wysoka, najwyższa w całej okolicy, zaklętą posiada moc. Lud tak o niej gwarzy:*)

Paraszka była drzewiej dońką, krasawicą. Kiedy w niedzielę zaodziała się w fałdzisty, u dołu haftowany i koronką oszyty fartuszek i katran*) czerwony, kiedy wzięła na siebie białą soroczkę z ustawkami wy-

*) Od Matki Boski Ziejnej do Siewnej.

*) Wrotami dawniej, a dziś Kłódką nazywa się wąskie przejście między górami, po za którym leży dorzecze Oporu, kraik górski, zwany Tucholszczyzną od pierwszej osady Tuchli, która tu powstała w końcu czternastego stulecia.

*) Opowieść o górze Paraszce słyszałam dwukrotnie tego lata: od starszej gaździny z Hrebenowa, Anny Biczkowiczki i od Jurka Brazeńca, młodego górala z Tuchli.

*) Katran przedni fartuszek ze sztywnego czerwonego sukna.

szywanemi i sielankę,*) jak tęcza barwistą, nie było w całej Kruszelnicy piękniejszej dziewczyny. Nikt też nie poradził dorównać jej w robocie, ani w tańcu, ni w śpiewie. Ino zawdy żałośnie śpiewała. Zwidział jej się Jurko, szwarny młójec i on ją zalubił strasznie, ale od ojców mieli surowo zakazane chodzić ku sobie.

I co się nie robi: ojcowie wypili wódkę z bogaczem, co miał połoniny wielkie, nie małe — i kierdel w dwie sotnie owiec — i onemu bogaczowi Paranię dają.

— Niech ta ogień spali trawę na połoninach! Niech ta niedźwiedź wydusi owce i krew z nich wypije! — Parania nie sprzeda się za bogactwa — Parania śmawą nocką

*) Sielanka — misterna plecionka z drobnych różnokolorowych paciurek. w gwiazdki, kółeczka, krzyżyki, którą kobiety noszą tam na szyi.

ślubną ucieka z lubym w góry, — precz od ludzi.

Ale kiedy słoneczko zablęzło na niebie, znalazła ją matula rodzona i przekleła.

Parańka od klątwy matczynej jęła nagle blednąć, stygnąć, kamienieć, aż się w górę zmieniała taką wielgą, jako wielgie było jej miłowanie...

A Jurko czołem uderzył o kamienne jej stopy, w rzekę się obrócił i został na wieki przy miłej. Gwarzy z nią odtąd we dnie i w nocy i płacze, i na swój los się żali...

Młody Opór słyszy jego lamenty, słyszy, jak uderza z rozpaczą w obumarłe stopy lubej — i ginie — z żałości ginie...

* * *

No i któraż z dwóch rzek bardziej podobać się może? — Powiedzcie sami — ja nie wiem!

M. W.



Z ziemi śląskiej.

IV.

Drogą, prowadzącą przez wieś, równą i gładką, jak szosa, toczą się gwarne wozy, zielenią umajone. To uprzejmi Izdebnianie wiozą nas, swoich gości, na górę Ochodzitą, aby z jej czupła pokazać nam kawałek ślicznej ziemi śląskiej.

Wieś zdaje się spać w ciszy, ciepłe, blaskach niedzielnego popołudnia. Nie widać w niej żadnego ruchu, nie słychać gwaru. Dzieci na pastwiskach, lub po lasach zbierają grzyby i jagody. Młodzież poszła na zabawę z tańcami, urządzoną, w pięknym gaju nad Olzą, przez miejscową straż ochotniczą. Starsi wypoczywają po za domami,

w cieniu drzew owocowych, których tu mnóstwo, bo dawniej każdy parobczak, dający na zapowiedzi, musiał wykazać się poświęceniem wójta, jako wysadził 40 takich drzewek na swoim lub cudzym gruncie.

Pusto więc w dziedzinie — jeno gołąbki gruchają na kozubach, kasperkach, przydaszkach ozdobnych ścian szczytowych, — jeno króliki patrzą czerwonymi oczyma z poza szczyb, a na kamiennych przylepkach, u chat, siedzą tam i ówdzie gosposie, wierne strażniczki progów domowych, z najmłodszą dziatwą.

Oto słyszymy właśnie dźwięczny głos jednej z nich. Zabawiając synka »kosaniem«, przyspiewuje:

Kosi, kosi, kosianki,
Dali mama śmietanki,
A taciczek kiszki ¹⁾,
Nie było i łyżki.

Z wesołego śmiechu przed inną izbą, odgadnąć łatwo, że tam się bawią »w myszyczkę«. Matka, przebierając drobnymi paluszkami dziecięcy, mówi: »Stroiła myszyczka kaszyczkę: temu dała na miseczkę, temu dała na talerek, temu dała na łyżeczkę, temu główkiczkę urwała, prasnęła, — bieżała, bieżała — haw się skryła!

A z za węgła jakiejś chaty płynie cicha kołysanka:

Nynaj, nynaj, dziecię nasze!
Nawarzyła mama kaszy.
Co ty nie zjesz, to my zjemy,
My cię za to kolebiemy.

Nie dłuży nam się droga przez miłą wieś i aniśmy się obejrzeni, gdy fury zajęchały przed gospodę Na Legierach ²⁾, u stóp Ochodzitej.

Zostawiamy tutaj konie, rzeczy, zapasy żywności i spieszymy na wierzch, na szczyt!

Wejście po kwietnych zboczach łatwe i oto jesteśmy już na punkcie najwyższym. Śliczny stąd roztacza się widok na góry, — jeden z owych widoków, właściwych ziemi śląskiej, — jaśniejący słonecznym szafirem nieba, zielenią lasów i pól, nakrapiany srebrem wód, ożywiony siedzibami ludzkimi...

Jakkolwiek Ochodzita to szczyt nie wysoki — na 900 metrów jeno wzniesiony — wspominają o niej często w książkach, bo leży na granicy Ślązka i znajduje się na linii głównego działu wód w Europie. To też jedne z jej potoków płyną na zachód i dostają się, wraz z wodami Olzy i Odry, do morza Bałtyckiego, — inne zaś Dunaj zanosi na południowy wschód, do Czarnego morza. Tak więc skromna Ochodzita składa srebro swych fal w daninie obu morzom, o które opierała się niegdyś Polska, które pluśkały pod skrzydłami Orła Białego.

Wiele gór i szczytów widzą nasze oczy, ale Izdebnianie pozierają najpierw w stronę Jabłonkowa, który jest taką stolicą dla górali śląskich, jak Nowy Targ dla Podhala.

Bywały jednak czasy, kiedy w tę samą stronę, ku przesmykowi Jabłonkowskiemu, zwracały się z trwogą oczy całego Ślązka, bo stąd groziła najczęściej burza wojenna. Międzygórskim onym parowem dziś pociągi

jeno przelatują. Lecz dawniej cisnęły się tym gościńcem, ręką samej przyrody ubitym, bojownicze Węgrów zastępy, stąd — po złamaniu Węgrów — groziła Ślązakom krzywa szable turecka; tu rozegrywały się krwawe sceny trzydziesto i siedmio-letniej wojny, o których wie — z opowieści ojców — każdy niemał Izdebnianin i Wiślanin; — tedy narazcie Prusacy usiłowali przedrzeć się na Węgry niedawno jeszcze, przed trzydziestu kilku laty.

O wiele, wiele bólu zaznała ziemia śląska! Tratowały ją wojny przeróżne, bo jako położona u tak zwanej Bramy Morawskiej, między dwoma wysokimi łańcuchami gór: Karpatami i Sudetami, otwierała wolne przejście dla wojsk ze wschodniej do zachodniej Europy.

Dziś jednak wspomnienie okropnych klęsk pobrzmiwa już tylko milknącym echem w pamięci ludu. Oto i teraz właśnie, na Ochodzitej, Izdebnianie opowiadają nam nie o Szwedach, Turkach, Węgrach, Prusakach, jeno o Jabłonkowie, o pięknych górach, które go otaczają.

I jest czego posłuchać!

Jabłonków to miasteczko choć niewielkie, lecz bardzo starożytne: piszą już o niem książki w początkach czternastego stulecia. Było niegdyś obronne, miało mury i baszty, aby wrogam się nie dać. Gościło Jana Kazimierza, gdy ów król wracał przez Węgry i Spiż do Polski, wychylającej się z potopu obcego zalewu. A potem, jakież śliczne płótna umiało wyrabiać! Słynęło ono na cały świat. Jackowie, jak nazywają Jabłonkowie, wędrowali z płótnianemi swemi wyrobami po krajach przeróżnych, aż powstała o nich piosenka:

W Jabłonkowie są Jackowie,
Rozumieją każdej mowie:
Wandrowali z Węgrem, z Turkiem,
Szli na szaniec z Brandeburkiem.

Dziś wprawdzie miasteczko zubożało i wskutek fabryk okolicznych i wskutek pożarów, ale jakież piękny ma dotąd rynek, z figurą Matki Boskiej i dwoma osobliwemi domami z drzewa, o staroświeckich podsielniach.

A już co do położenia Jabłonkowa w wieńcu z gór, to jest ono tak piękne, że mało na świecie znaleźć można miejscowości piękniejszych, a choćby jeno podobnych.

I każda z tych gór jabłonkowskich ma, niby jaki bohater, swoją historję. Słuchamy więc opowiadań o Kozubowej, Szafasie i Ro-

¹⁾ Kiszka — zsiadłe, kiszzone mleko.

²⁾ Legiery — leżące; powalone drzewa, wykroby.

winie, co pomkną ku samemu miastu, gdy trąby archanielskie na koniec świata zagrają i skałami swemi zasypią jego ulice. Słuchamy o Girowej z ukrytem wejściem do podziemnego pałacu zbójników — i o Skałce, kędy Janosik skarby przechowywał i szalone tańce zbójnicze wyprawiał — słuchamy o tem wszystkim pilnie, lecz jednocześnie szybko zstępujemy z Ochodžitej, bo słonko mruga na zachodzie gasnącym już promykiem.

Wracamy teraz do gospody »na legierach« w gronie daleko liczniejszym, bo towarzyszą nam spotkani na Ochodžitej mieszkańcy dwóch sąsiednich wiosek: galicyjskiej Kamesznicy i ślązkiego Koniokowa.

galicyjskiej i ślązkiej, pogarnęli się do dzielnego grajka, otoczyli go i śpiewają.

Brzmi tęskna piosenka:

Hej, Boże, Boże, Boże mój!
Odeszeł mie miły mój!
Odeszeł mie bardzo preczka,
Wzion klucziczki od serdeczka, —
Wzion od swego i od mego,
Poszeł do kraju cudzego!

A potem zaraz inna, w której woła wielka boleść:

Zabili, zabili, zabili go!
Pod buczkiem zielonym schowali go,
Pod buczkiem zielonym, tam on leży,
Ta czerstwa wodziczka po nim bieży..



Rynek w Jablonkowie.

Rozmawiamy o rzeczach dawnych i dzisiejszych, wesołych i smutnych. Dobrze nam ze sobą, jak gdybyśmy jedną tworzyli rodzinę. I nic dziwnego, wszak są tu najlepsi znajomi nasi: prezes Kółka rolniczego, Jurroszek, który tę wycieczkę zorganizował, »rektor« Grania, poważny Śliwka ze swoją gaździnką, Jan Przygoniak, muzyk od Wojtaszów.

Ten ostatni nie wziął swoich gajd, ani skrzypki, ale jak dobry jeździec każdego konia dosiąść potrafi, tak i on na każdym instrumencie poradzi zagrać. I teraz właśnie dostał od właściciela gospody »jarganki«, dużą piękną harmonikę i już gra.

Łud polski lubi śpiew i muzykę, więc też wszyscy obecni, z obu stron granicy,

Po tej znówu jeszcze inna wybucha gorącym wyznaniem:

Czy się mie ty boisz?
Czy się mie ty wstydzisz?
Czemu do studzienki
Na wodę nie idziesz?

Cobych cie się bała,
Lebo się wstydziła,
Dychy ja za tebom
Do wody skoczyła.

Do wody, do wody,
Co się kołem toczy,
Za tebom Jasienku,
Ze masz czorne oczy!..

Płyną piosenki, jedna za drugą! Tyle ich w górach i takie piękne! Szkoda, że nikt ich dotąd nie zebrał, nie wydrukował.

Ale cóż to? — Muzyka i śpiew zmiłkły. Twarz grajka blednie ze wzruszenia, w oczach palą się iskry... Wtem harmonika rozsunięła wachlarze, westchnęła, jak człowiek, co w pierś nabiera powietrza do ogromnego jakiegoś wołania i uderzyła w rycerski, w bojowy ton...

Śpiewacy wnet pochwycili nutę i z krzepkiej piersi ludu »znana piosenka wionęła, marsz tryumfalny: *Jeszcze Polska nie zginęła!*..

Po wspaniałym hymnie życia nikt już nie śmie śpiewać. Każda inna piosenka wydawałaby się niską i słabą, jako mech przy dębie. Ktoś z obecnych zabiera jeno głos i opowiada gdzie, kiedy, wśród jakich okoliczności zaśpiewano po raz pierwszy ową pieśń drogą, potrąca o powstanie Kościuszkowskie, o Racławice, o kosy krwawe...

Słowa drogich wspomnień zespalają obecnych silniejszym jeszcze ogniwem, przenoszą ich na chwilę w cudny świat górnych myśli, potężnych uczuć, bohaterskich czynów...

M. Wystouchowa.



Listy do „Zorzy“.



W Landoku, dnia 11. sierpnia 1901 r.

Kochana Redakcjo! Upraszam Ich pięknie, bo od bólu serce moje dobrze mi nie pęknie! bo mamy wielki smutek na Spizu,

w Landoku! Wesołość nam trzymała lem prawie do roku, a teraz zaś zarmutek ma każdy na dworze, przeto z wielką pokorą podaję do »Zorzy«, bo gdy ja mój list w »Zorzy« czytam drukowany, tak se wzdychnę do Boga: ach, Boże kochany! Nie miałem ja pisać aż twardo w jesieni, lecz za parę miesięcy rozmaicie się zmieni. To się też nam zmieniło każdemu w Landoku, już nam nie tak wesoło, jak łośńskiego roku. Mieli my organistę bardzo wesołego: grał dobrze na organach i wsze coś śmiesznego z ust mu wyleciało, co się wszyscy śmiali, za sto tysięcy dukatów my by go nie dali. Lecz na pierwszego sierpnia poszedł nam z Landoku, wszyscy się zasmucili, każdy ma łzy w oku. Mnie też serce zasmutniało, czuję się do żalu, gdyż mi światełko zgasło, co z ciemności, z wielu, swoim błogim promyczkiem mnie wyswobodziło i faskawem serduszkiem rączkę podawało.

Ach! smutna moja chwila, oczy łzą zalane, gdyż mi już nie powróci światełko kochane! Poszedłem do kościoła na pierwszą niedzielę, nie miałem wesołości, tylko smutku wiele, bo organ stał cichutko, ani nie śpiewali, tylko wszyscy ludzie od żalu szlochali. Bo wszędzie we wsi tak to uradzili, żeby kościelnicy świeczek nie świecili. Bo to ksiądz winowaty: on go wypowiedział, żeby organista w Landoku nie siedział.

Za to cała parafja na księdza się gniewa, ani teraz w kościele żaden nie zaśpiewa, tylko wszyscy ludzie oczy ocierają, na księdza przy ołtarzu bokiem pozierają. Sam ksiądz musi sobie świeczki pozapalać, słowa organisty musi ministrant odmawiać.

Ach! żal nam, wielki żal, na naszego księdza, gdyż każdy rok organistę jednego wypędza. Sam by wszystko pochłonał, nie życzy drugiemu, chce, żeby wszystko przyszło do kieszeni jemu. Ach! szkoda nam, szkoda naszego polaka, gdyż on dobrze wyuczył każdego dzieciaka! Ani pisać nie mogę od żalu wielkiego; żeby mu Bóg dał zdrowie, to proszę dla niego. Gdzie się będzie obracał nasz pan organista, niechaj nam żyje zdrowo sto latek i — trzysta!

Och, najdroższa Zorza, raczą mi to sprawić, te moje parę słów ludowi oznajmić! Jeszcze raz upraszam, niech się nie gniewają, choć we swojej gazetce mało placu mają. Proszę niechaj się zmieszczą w gazetce me słowa, które ja niegodny, posyłam do Lwowa.

A gdy mój list przyjdzie do »Zorzy«, do proga, zaraz w najpierwszem słowie niech po-

chwali Boga. Niech się wszystkim pokłoni, którzy tam mieszkają, słowem staropolskiem niech się powitają!

U nas teraz ludzie, dzięki Panu Bogu, zdrowe, idą do roboty, bo zbiórki gotowe. Piękne są urody: owies, jęczmień, żyta — wszystko opisuję, choć żaden nie pyta — i ziemniaki piękne dosyć się zrodziły, ale nam ich bardzo dzikosy porwały. Lecz dopiero tydzień, jak my jeść zaczęli, ale sypciuteńkie, — radość wielka z nimi!

Coraz to mi więcej do myśli przypada, lecz o wszystkim razem pisać nie porada. Muszę już zakończyć to moje pisanie, bo to dla kochanej Pani wielkie jest czytanie. Ale niech się nie gniewają, bardzo pięknie proszę, że im z węgierskiej strony o wszystkim donoszę. Szczęścia, zdrowia, powodzenia życzę naszej Pani, dobrą noc winszuję — nie piszę już dalej.

Jakób Bednarczyk
z Landoku.



Na wschodzie świta.

Na wschodzie świta
Prześliczna zorza,
Rumieni żyta,
Pszeniczki, zboża.
Słoneczko wstaje,
Złoci liść drzew,
Oświeca gaje,
Ptaszyny śpiew.
Pod kroplą rosy
Trawa się kłania, —
Pastuszek bosy
Krówki pogania,
I wita ranną

Modlitwą ten świat:
»Najświętsza Panno,
Strzeż młodych mi lat!«

Józef Winicki,
włościanin ze Słociny.



ROZKAITOSCI

Rocznica. Na świętą Jadwigę, 15. października, przypada rocznica śmierci Kościuszki. Uczcijmy ten dzień, drodzy Przyjaciele, myśląc o pięknych czynach chłopskiego Naczelnika, o jego życiu bez skazy. Pamiętajmy zwłaszcza o tem, że w czasach, kiedy nieszczęsne przesady dzieliły dzieci jednej Matki-Ojczyzny, a tem samem osłabiły siłę narodu, Kościuszko przyniósł Polsce wielką myśl, która zerwie łańcuchy niewoli i stanie się naszym zbawieniem, — myśli braterstwa i równości wszystkich obywateli kraju!

„Patrz, Kościuszko, na nas z nieba, Twego miecza nam potrzeba, by ojczyznę oswobodzić“ — mówi pieśń, dobrze nam wszystkim znana. Otóż w ten dzień pamiątkowy zmienmy jej słowa i tak się módlmy: „Patrz, Kościuszko, na nas z nieba, Twego serca nam potrzeba, by ojczyznę oswobodzić“ — wielkiego serca, co umiłowało ojczyznę bardziej, niż własne życie, a sprawiedliwość i prawdę, bardziej, niż ojczyznę! — gorącego serca, co żarem swej miłości ogrzało skrzepłą pierś ludu i rozpaliło w niej płomień bohaterstwa! — „Patrz, Kościuszko, na nas z nieba, Twego serca nam potrzeba!“...

† **Sewer Maciejowski.** Przed kilku dniami, 23. września, zmarł nagle w Krakowie Sewer Maciejowski, uczestnik walki o wolność z roku 1863, szeroko znany autor wielu książek, na których podpisywał tylko imię swoje: Sewer.

Nie obcem jest to imię i dla mieszkańców wiosek. Sewer Maciejowski bowiem nietylko czerpał do swoich powieści wątek z życia mieszkańców chat, nietylko pisał o ludzie, lecz i dla ludu. Popularne jego książeczki, łatwe do zrozumienia, ciepłe, jasne, miłością ojczyzny przejęte, znajdowały chętnych i licznych czytelników. Za tę miłość dla ludu i opisywanie jego doli, — za walkę

i cierpienie dla wolności narodu, niech lekka mu będzie ziemia ojezysta!

Lwów — swemu wybrańcowi. Serdecznie i szczerze, z ufnością i szacunkiem witał Lwów ubiegłej niedzieli p. Jakóba Bojkę, wójta ze wsi Gręboszowa, którego wybrał był przed paru tygodniami na posła. W południe odbyło się liczne zgromadzenie w sali Stowarzyszenia rękodzielników „Gwiazda“, a potem wieczornica na t. zw. Wysokim Zamku, czyli w pięknym parku na górze wyniosłej, na której po dziś dzień znajdują się szczątki zanku, wzniesionego przed wiekami przez króla Kazimierza Wielkiego, króla chłopów. Tak na zgromadzeniu południowym, jak i wieczornicy, wygłoszono wiele pięknych przemówień na cześć Polski, ludu, posła z pod strzechy wiejskiej — na cześć zwycięstwa światła i prawdy nad ciemnościami i nieprawością. Przemawiał też wiele razy i poseł Bojko, już to, aby powiedzieć swoim wyborcom, co jemu samemu na sercu leżało, — już odpowiadając na mowy, do siebie zwrócone. A słowa jego wszystkim podobały się orgomnie, we wszystkich budziły radość i szacunek dla mowy. Bo i jakże mogłoby być inaczej: świecił w nich przysłowiowy rozum chłopski, któremu nauka dodała tyle blasku, co szlifowanie brylantowi, — biła z nich miłość dla ojezyny i dla braci wiejskiej, — dźwięczała silna woła pracy dla przyszłości, dla tryumfu dobra...

O zaiste, godnego siebie posła wybrało sławne miasto Lwów — posła, co płótniankę chłopską, w której chodzi, okrywa taką chwałą, jaką dawni rycerze nasi okrywali zbroję pozłocistą.



Rady gospodarskie.

Jajecznicza na mleku. Dzisiaj — dla braku miejsca — powiem Wam, miłe Gosposie, jeno tyle, jak się przyrządza bardzo dobrą potrawę z jaj i mleka.

Cztery jaja, białka i żółtka razem, ubić łyżką drewnianą na misce tak, aby zaczęły bąbelki się robić, — bić trzeba z jakie 15 minut. Potem wlać do tego powoli litr słodkiego, nie-

zbieranego mleka, wciąż mieszając starannie. Dalej — wrzucić kawałek niewielki masła, z jakie pół łyżki, — posolić, dobrze wymieszać, wlać do rynki glinianej lub żelaznej i wstawić do rury, aby się zapiekło. W kilkanaście minut ta potrawa zgęstnieje, podrośnie, zarumieni się, a wtedy można ją spożywać. Niektórzy posypują ją mączką cukrową, inni polewają słodkim sokiem z jagód, ale bez niego smakuje też dobrze, nawet jeszcze lepiej.

Tak przyrządzone jaja na mleku, jako pożywne i łatwo strawne, dobre są zwłaszcza dla osób, wracających do zdrowia po chorobie, które nie mają jeszcze smaku do ziemniaków lub kapusty.



Odpowiedzi od Redakcji.

P. B. Mareczkowa w Mładym Bolesławie.
Proszę wybaczyć, że tak późno wystaliśmy „Zorzę“ na łaskawe zamówienie. Opieszalskość podobna nie powtórzy się już z naszej strony. Obawiam się jeno, że gazetka nie odpowie oczekiwaniom Szanownej Pani. „Stowiański Przegląd“ zapatruje się na nią przez pryzmat wielkiej życzliwości dla wydawnictw polskich, a więc zbyt pobłażliwym jest sędzią. Za dobre słowa dla nas, Polaków — podziękowanie i wdzięczność.

P. dr. Edward Krajniak w Pozsonach.
I myśmy się zdziwili, — radośnie zdziwili, że mała nasza gazetka ma przyjaciół wśród pobratymców aż tak daleko. Źródłem owej przyjaźni jest niewątpliwie interesowanie się ludem polskim, jego oświatą, a więc tem bardziej, tem goręcej dziękujemy!

P. dr. Teodora Krajewska w Sarajewie.
Przysłana kwota równa się trzyletniej prenumeracji, więc wysyłamy i komplet zeszłoroczny „Zorzy“. Do wyrazów wdzięczności za pamięć osmielam się dołączyć — w imieniu czytelniczek — prośbę — wielką prośbę o niezmiernie pożądane wskazówki z zakresu higieny.

P. Fr. Kurc we Fryszacie. Za wskazanie nowych drzwi i sere, które się otwierają przed „Zorzą“, radabym dziękować, ale już nawet nie umiem. Więć mileczenie niech będzie moim tłumaczem.

P. Jan Macura w Skoczowie. Jakże można posądzać nas o nieufność! Uczucie to nie ma weale a weale dostępu do nas. Numera żądane wysłałismy zaraz, lecz zaginęły widocznie na poczcie. Ale powtórnie wysłane musiały dojść.

Szanowni Czytelnicy w Ustroniu: Paweł Ferfecki, Jerzy Plinta, Józef Pasterniak, Jan Kus, Józef Chrapek, Karol Szczepanek, Józef Lipowczan, Rudolf Lehmann, Józef Stec. Za słowa życzliwe z gór wiślańskich „Bóg zapłać“. Widzę, — ze wszystkiego widzę, że Ustron stanie się niebawem stolicą „Zorzy“. Nigdzie tyle oczu, co tam, nie czyta gazetki i chyba nigdzie nie witają jej ze szczerzą życzliwością. Najbardziej wzruszyła mię kartka z kościółkiem. w dzień Matki Boskiej Zielnej wysłana. Kto pamięta opis z przed lat kilku, ten ma dobrą pamięć, zaiste! Ale samej jeno zimnej pamięci nie starczy, aby odgadnąć, co innemu człowiekowi radość sprawi, miłe wspomnienia w nim obudzi. Na to trzeba mieć — serce!

P. E. Hałaciński. Nadesłane przykłady zużytkuję, ale nie w „Zorzy“. Ta gazetka w rozmaitych stronach ma czytelników, a nawet i w takich, gdzie tych opłakanych stosunków nie znają. Nie zrozumieliby więc bez wyjaśnień opowiadania Waszego, Panie, i strasznieby się przerazili. Ja te rzeczy dobrze znam, a jednak mróz ścinał mi krew, gdym list Wasz czytała. Okropne to były czasy, a kłątwa ich trwa po dziś dzień!

P. Marja Gilówna w Grębowie. Dziękuję Wam, miła, najmilsza Czytelniczko, za życzliwe słowa. W sercach naszych nie wygaśnie nigdy żal po ś. p. Ojcu Waszym. Zasłużył na pamięć ludzką, bo zacny był, pracował z poświęceniem dla sprawy ludowej i wiele dla niej cierpiał. Pocięchą i dla nas i dla Was niech będzie myśl, że praca taka i takie cierpienia nie idą nigdy na marne, owszem bujny przynoszą plon. Życzenia Waszego nie mogę spełnić, niestety, bo listy podobnej treści zapisują jeno we wdzięcznej pamięci, nie dając ich do gazetki. Ale napiszcie o czem innym, — o tem, naprzykład, co robią u was dziewczęta w wieczory zimowe, a wydrukuję wnet! — Szczerścia, zdrowia i wszelakiej pomyślności — daj Wam Boże!

P. Handzlik w Łąkach. Dziękuję z opowiadanie. Proszę jednak nie spieszyć się z dokończeniem, bo tak zaraz nie będzie miejsca w gazecie. Radabym bardzo dowiedzieć się przy sposobności, jaka książka, jaka powiastka nasuwała Wam te myśli, Panie Janie? — Raduję się z życzliwości Waszej dla gazetki i z pilnego jej czytania.

P. E. D. Za wyborny przepis gospodarska pięknie dziękuję. Zachowam go na rok przysły, bo w październiku za późno. Korzystając jednak z uprzejmości, ośmielam się prosić o inne rady, z których dałoby się od razu skorzystać.

P. Adam Gębala z nad Samu. Pieśń ową znam dobrze i wydrukuję jak najchętniej w listopadowym nr. „Zorzy“. Będzie to właśnie czas najodpowiedniejszy, bo w listopadzie przypada rocznica powstania listopadowego, a więc i zgonu bohatera Sowińskiego. List Pana uradował mię bardzo. Proszę wierzyć, że to pociecha wielka, największa! Cheiałabym jeno, aby gazetka mogła stawać się coraz lepszą.

P. Marjanna Głab z Podwierzynica. Sprawiedliwie powiadacie, miła Czytelniczko, że w tym roku wrzesień mamy ciepły, niby maj. Nie spełnia się przysłowie: „Święty Michał — będzie ludzi do pieca wypychał“. Ale słoneczko choć grzeje, nie piecze, więc też wnet wybieleją rumiane twarze naszych dziewcząt pracowitych, wedle gadki: „Przyjdzie święty Michał, będzie ogorzeline spychał!“ Wypoczną też niebawem i walne parobczaki, bo „na świętego Łuka — schowaj pług i włóka“ — niema już w polu roboty nijakiej, chyba gdzie jeszcze czerstwa, biała, zdrowa rzepa zaświeci nacią zieloną, aby na pytanie: — „Święty Łukasz, czego w polu szukasz?“ — zapytany Ewangelista mógł odpowiedzieć: — „Szukam rzepy — alboś to ślepy?“



Treść numeru: Na zarobek. — Na jesieni. — Czary. — Kościoły w Chochołowie. — Opór — czy Olza. — Z ziemi śląskiej. — Listy do „Zorzy“. — Na wschodzie świta. — Rozmaitości. — Rady gospodarskie. — Odpowiedzi Redakcji.

Odpowiedzialna redaktorka: Marja Wyslouchowa. Z „Drukarni Udziawowej“ Lwów, Landęgo 8.